ROZMAITOŚCI.

Dnia 1 lutego, Nr 5. roku 1845.

La Brienza.

Jeżliś był kiedy we Włoszech — a jestże kto, coby dzisiaj tam niebył? — tedy zwidziłeś może Medyjolan, wstępowałeś zapewne do Monza, aby oglądać *fac-simile* sławnej korony żelaznej, która, mówiąc nawiasem, nie jest bynajmniej z żelaza lecz ze szczérego złota; podziwiałeś czarowne widoki wyspy Isolla-Bella na jeziorze *lago maggiore*, zdumiewałeś się na widok kolosalnego posągu świętego Karola Boromeusza w Aronie, ale niezawodnie nie byłeś w *la Brienza.* Otóż widzę, że nawet nie wiesz wcale, co to jest *la Brienza!* Posłuchajże, a będziesz się wstydził swojéj niewiadomości.

Wyjechawszy z Medyjolanu przez bramę nową, mi[illegible] ga, mając właśnie przebywać rzekę Addę, [illegible] się tu już staje jeziorem, zostawia się po prawéj ręce most prowadzący do Lecco, a zwracając się w lewo, przejéżdża się przez Val-Madrera. Tam u wstępu na małą odnogę lądową, oblaną z trzech stron wodami jeziora komejskiego, znajdujemy się nagle wpośród najosobliwszéj, najprzecudniejszéj krainy, jaka tylko może być na świecie.

Wystaw sobie zbiór — omało żem nie powiedział: zgromadzenie — małych zielonych wzgórków, okrytych małémi gaikami, poprzedzielanych małémi dolinami, gdzie się wiją małe strumyki i błyszczą małe jeziorka, istne połyskujące szmaragdy. Każdy z tych młodocianych wzgórków przystrój w zamek spaniały, kościół, starożytnią świątynię, albo zalotną willę. Od wzgórków ku dolinom roztocz, jakgdyby połączające pasmo, śrebrzystą wstęgę rozpromienionego powietrza; z dolin ku wzgórkom niechaj się wznoszą i ulatują: śpiew ptaków, szmer strumieni, tajemniczy szum lasów, przeciągłe wołania pasterzy, tysiączne wonie dziewiczéj jeszcze prawie natury, tysiączne połyski światła... a cała kraina tak świéża, jasna i cienista i swawolna i zaciszna i rozgłośna i wonna i zachwycająca... a tam nad nią, błękitne sklepienie włoskiego nieba!

Teraz spojrzyj, podziwiaj!... bo ta kraina — to *la Brienza.**

Otóż w lecie przeszłego roku, przybyło na parowym statku jeziora *maggiore* trzy osób do Sesto-Calende, mając zamiar zwidzenia téj krainy.

Jedna z tych osób zowie się lord Archibald Brandon, druga sir Jerzy Dingmoore. Tak pod względem moralnym jakoteż i fizycznym, przedstawiają ci panowie najdokładniejsze żyjące egzemplarze dwóch różnych gatunków narodowego typu Anglików: starszy — mały, otyły, rumiany, ociężały, grymaśny, stanowczy, ale w gruncie najpoczciwszy człowiek na świecie; przeciwnie młodszy — słuszny, szczupły, blady, [illegible] włosy, zimny, hardy i nieprzystępny. [illegible] nać do angielskiego [illegible] chodzącą [illegible] [illegible]ków, ta należy do rzędu dwóch prawdziwych Angielek, coto są białe jak śnieg, i zimne jak tenże; zdaje ci się, że widzisz bóstwo piękności, a to tylko piękny posąg, któremu nic nie brakuje, oprócz ożywczego ognia Prometeusza; dziwaczne te stworzenia, które Byron przeklinał, bywają rozsądne jedynie przez swój oziębły temperament, i mogą się rozognić z przekonania, podług woli, o wyznaczonéj godzinie; jednakże kiedy na nie czas przyjdzie, puszczają one wodze swoim namiętnościom i pędzą cwałem najdzikszego rumaka.

Lady Rosa Brandon jest dopiéro od dwóch miesięcy małżonką zacnego lorda. Już drugiego dnia po ślubie oświadczyła swojemu małżonkowi iż chce Włochy zwidzić. Lord Brandon, nieustraszony żeglarz i potulny małżonek — jakimi prawie ci wszyscy okrutni despoci okrętowi bywają — poczynił natychmiast przygotowania do odjazdu.

Sir Jerzy Dingmoore jest podobnież oficerem marynarki angielskiéj; w ostatnich czasach dowodził jako kapitan okrętowy pod rozkazami lorda Bran-

---

*) Szkołą jeziora nazywają grono poetów angielskich opiewających okolice northumberlandzkie, obfitujące w romantyczne jeziora.

don, komodora w służbie jéj mości królowéj Wielkiéj Brytanii.

Żartownisie arystokratycznych salonów londyńskich — bo i w Londynie są żartownisie — widząc byłego kapitana przypuszczonego do zażyłości z młodą małżeńską parą, i wraz z nią do Włoch się udającego, utrzymowali z pewnością, że lord Brandon, w przekonaniu iż objął teraz dowództwo fregaty, daleko trudniejszéj do sterowania, niż jakakolwiek z marynarki królewskiéj, uznał za rzecz potrzebną, zatrzymać ku pomocy w burzliwych czasach Hymena zręcznego oficera, którego rzadka przytomność umysłu czyniła mu tak ważne posługi na pokładzie *Erigony*, o 64 działach, będącéj podówczas w naprawie w porcie Spithead.

My możemy tylko tyle o tém powiedzieć, iż lady Rosa, przed swojém zaślubieniem z lordem Brandon de Brandon-Nevil w hrabstwie York, była ósmą córką podupadłego szkockiego para, a sir Jerzy, znakomity oficer marynarki i trzeci syn jednego z najdzielniejszych admirałów angielskich, nie miał żadnych innych widoków zrobienia fortuny w świecie jak tylko te dwa, to jest: morze i ożenienie — oba nader burzliwe, niepewne oceany!

Teraz opowiémy przyczynę, która spowodowała lady Różę Brandon do zwidzenia tak mało znanego kraju, jakim jest *la Brienza*.

[illegible] cały poem[illegible] A[illegible] josta dekr[illegible] i to nawet z znacznemi waryjantami. Oprócz istotnego natchnienia i daru poetycznego, posiadał jeszcze tenże improwizator bardzo wyrazistą fizyjonomiję, która zajęła natychmiast uwagę szlachetnéj lady, nawykłéj wszystko, co tylko w oczy jéj wpadnie, mierzyć z pańska nieodczepném spojrzeniem. Był on małego wzrostu, lecz kształtnie zbudowany i zdawał się być nadzwyczajnie silnym. Wszystkie jego ruchy, czyli raczéj postawy, były pełne ognia i życia. Szérokie faworyty otaczały jego śmiałe oblicze, odznaczające się szlachetném, szérokiém czołem i orlim nosem, a rozjaśnione dużemi czarnemi oczy o długich rzęsach, które wraz z małemi, uśmiechającémi się usty, ocienonémi lekkim ciemnym wąsikiem, nadawały jego twarzy bardzo ujmującego wdzięku.

Podczas gdy lord Brandon pożywał cztéry rosbify, a sir Jerzy ośm cygarów wypalał, lady Róża, opanowawszy improwizatora, kazała mu sobie cały jego repertoarz wygłaszać. Gdy przybito do lądu w Sesto-Calende, otrzymał improwizator, *il signore* Albano, w nagrodę miły uśmiech od pięknéj Angielki, a gwineję od dostojnéj lady. Jedno i drugie przyjął z upodobaniem. Zapytany o miejsce urodzenia, odpowiedział iż nie jest ani z Neapolu, ani z Rzymu, ani z Kremony; poczém dodał z uśmiéchem, iż sława wydania tak wielkiego improwizatora należy się krainie *la Brienza*. Musiano się dopiéro pytać, co to jest *la Brienza*. Tu więc należy odczytać dokładne opisanie, jakiem rozpoczęliśmy naszą powieść.

Milady oświadczyła swoim dwom towarzyszom, iż wprzódy, nim się uda do Medyjolanu, chce zwidzić *la Brienza*. Milord odważył się zapytać, co to jest takiego ta *la Brienza*, lecz zamiast odpowiedzi, otrzymał spojrzenie pełne najgłębszéj wzgardy. Po którémto ukaraniu niewiadomości swojego męża, obróciła się milady do Jerzego i powtórzyła mu szumne słowa, jakiemi improwizator ojczyznę swoję wychwalał. Kapitan fregaty, umiejący na pamięć całego *Guide du voyageur en Italie*, dodał do tego opisu kilka dat historycznych które zachwyciły milady; szanowny zaś komodor, usłyszawszy iż za czasów państwa longobardzkiego, królowa Teodolinda najpiękniejszą porę roku na najwyższém wzgórzu w *la Brienza* spędzała, nie mógł się dłużéj opiérać, aby też i jego królowa kilka tamże godzin nie zabawiła.

Gospodnik w Sesto-Calende starał się odwrócić swoich gości od zamierzonéj wycieczki, opowiadając im ze strachem, iż od kilku miesięcy, kraina, którą ich *eccelenze* chcą zwidzać, [illegible] siedl[illegible] skiem [illegible]ezn i bandy zbojców, [illegible] [illegible] ły. [illegible] ekł [illegible] don z ru[illegible]chem, [illegible] nie masz już zbójców we Włoszech, sir Jerzy odrzekł stanowczo, iż ich tam nigdy nie było, a lady Róża zawołała, iżby rada była mieć w swojém *album* podróży portret włoskiego zbójcy, rysowany z natury.

Obruszony tém jeszcze bardziéj gospodnik zaczął właśnie traiczną opowiadać historyję, mającą zmienić zdanie i zamiar podróżników, gdy nagle urwał opowiadanie. Lord Archibald ujrzał przechodzącego pod oknami improwizatora, który był rodem z *la Brienza*, i zawoławszy go do pokoju, powtórzył mu dosłownie, co gospodnik o jego ojczyźnie prawił. Improwizator roześmiał się serdecznie z obawy oberżysty i zaklął się na wszystkich świętych, iż w rodzinnéj jego krainie nigdy ani noga żadnego zbójcy nie postała.

»Tak jest — zapewne — ja sam tak sądzę;« zatwierdził nagle gospodnik, zmieszany widocznie wzrokiem, jaki improwizator nań rzucił. »Lecz *eccelenza* wié, jak to czasem gadają...«

»Domyśliłem się zaraz, że temu poczciwcowi żal jest naszych g[illegible]inejów,« rzekł sir Jerzy Dingmoore.

»Jakkolwiek bądź,« — dodał zacny komodor — »nie piérwszy to raz, że włoski oberżysta z wło-

skim bandytą o pierwszeństwo się ubiega! Ha — ha — ha!”

Lord Brandon był tak zadowolonym ze swego żartu i z uśmiechu, jaki on na uściech milady wzbudził, iż się nie sprzeciwiał bynajmniej umowom swojej żony z *signorem* Albano, który jako przewodnik i *cicerone* miał towarzyszyć wyprawie do *la Brienza.* Najprzód jednak oświadczył improwizator, iż musi jeszcze wrócić na kilka godzin do domu; poczém będzie gotów na usługi szlachetnej lady. — »Dam waszym *eccelenzom*” — zakończył *signor* Albano — »znajomego mi dobrze pocztylijona, za którego uczciwość ja sam zaręczyć mogę. Zresztą, pomimo niedorzecznych bajek, jakie ten gawron tu plecie, nie ma się czego lękać.”

»My się też niczego nie lękamy, *signor* Albano,” zarzucił ozięble Jerzy.

»Co do mnie,” ozwała się lady Róża łagodnym swoim głosem, »żałuję szczerze, iż bandyci włoscy żyją jeszcze tylko w podaniu.”

»Więc milady życzyłaby sobie w istocie obaczyć rozbójnika?” zapytał nagle lord Brandon.

»I owszem, milordzie.”

»Aniby nie zemdlała na widok jego broni?”

»A pfe!”

»Ho — ho!” I jakby uderzony nagle wesołą myślą, zaczął lord Archibald śmiać się z całego gardła, i wyszedł po krótkiej chwili, uprowadzając [illegible] rozmowę, która musiała być wcale nie bardzo poważną, sądząc po głośnym śmiechu zacnego komodora i po wyrazie komicznego zdziwienia, malującym się na twarzy improwizatora.

Gdy lord Brandon powrócił do pokoju, — gdzie tymczasem lady Róża i sir Jerzy roztrząsali, jak się przynajmniej zdawało, jedno z pytań metafizyki — uśmiechała się jego mina tak dowcipnym wyrazem, iż to milady zadziwiło, i ciekawie męża o przyczynę zpytała. Lord Archibald nic nie odrzekł, lecz ciągle z tym samym wyrazem zadowolenia ręce sobie zacierał.

»Milordzie,” — powtórzyła żona dobitniej — »pytam się wpana co to ma znaczyć?”

»Nic, moja droga; nic! nicto nie znaczy!... Cieszę się tylko naszą wycieczką do *la Brienza.* Jestem pewny iż się wyśmienicie bawić będziemy — a nawet lepiéj, niż się sama spodziewasz! — Sir Jerzy nie domyśli się niezawodnie, jakie tam rozrywki nas czekają. Ho, ho, rozrywki! — W zakład o sto gwinejów, Dingmoore, iż się nie domyślisz niczego! Czyż nam *signor* Albano nie nagadał dosyć o niedostępnych lasach, o ustronnych wąwozach, gdzie śmiała garstka łotrzyków może sobie łatwo z żandarmeryi całego świata zadrwić! Kto wie! Może moja kochana Róża będzie mogła zrobić sobie z natury szkicę włoskiego zbójcy! Rozumie się, jeżli będzie w stanie utrzymać równie silną ręką ołówek, jak Dingmoore swój pistolet... Ha — ha — ha!”

Poczém wyszedł z pokoju, aby się naśmiać do woli. Lady Brandon ścisnęła obojętnie ramionami i wezwała Jerzego na przechadzkę ponad brzegiem jeziora.

Nazajutrz rano, pomimo tajemniczych półsłówek, mistycznego kiwania głową i dziwacznego krzywienia się gospodnika, opuściło nasze podróżne towarzystwo Sesto-Calende i stanęło około południa w miasteczku Como. I tutaj jeszcze rozpowiadano im wiele o zbójcach w *la Brienza,* na co oni jednak pogardliwym odpowiadali śmiéchem. Po dorywczém śniadaniu puszczono się w dalszą podróż, a przybywszy do Erba, gdzie się na chwilę zatrzymano, wziął lord Archibald swoje i swego towarzysza pistolety, aby, jak mówił, świeże spłonki*) założyć.

Wkrótce minęli Pasiano, — tak się nazywa prześliczna górska wioska, rozłożona niedbale pod bokiem malowniczego pogórza, a myjąca swe stopy w świeżéj pięknego jeziora wodzie — i wjechali w pierwszy wądoł krainy *la Brienza.*

Wtém zaczęło się zmierzchać, a zachodnie promienie słońca nie wnikały już w głąb doliny, po któréj przejeżdżał pocztowy powóz naszych podróżnych, budząc tysięczne drobne echa w wieczornej ciszy; czasami tylko połyskały jeszcze najwyższe szczyty alpejskie [illegible] [illegible] coraz zakrętniej pomiędzy lesistemi wzgórzami, których oboczne drzewa stykały się nieraz gałęźmi ponad głowami jadących; nareszcie nie mogły konie wcale przedrzeć się dalej; pocztylijon stanął i zaczął się oglądać, a po niejakiém wahaniu oznajmił, iż zmylił drogę. Zdawało mu się jednak, jakby nie daleko ztąd musiała leżéć wioska Brienza, od któréj ta cała kraina ma nazwę. Lord Brandon oświadczył, iż pójdzie na zwiady z pocztylijonem, podczas gdy sir Jerzy pozostanie tu z milady, aby ją bawić, uspokajać lub bronić, gdyby tego była potrzeba.

»Bądź spokojną, moja kochana,” rzekł szanowny komodor, zabiérając się do odejścia; »nie nudź się bardzo w téj krecićj jamie. Czyliżem cię nie uprzedził, iż się będziemy wyśmienicie bawić w *la Brienza.*”

Sir Jerzy wysadził lady Brandon z powozu i oboje usiedli na ogromnym ułomie skały, który się tu był z gór stoczył. Tymczasem zrobiło się już zupełnie ciemno; niekiedy tylko, gdy silniejszy powiew wiatru rozsłonił gałęzie drzew ocieniających ten ustronny zakątek, pojawiały się przez ten otwór łagodne promienie gwiazd i księżyca, przy których chwilowym blasku można było dostrzegać owe pojedyńcze bukiety kwiatów i zieleni, jakiemi alpy

*) Kapsle — pistony.

włoskie najskrytsze przeguby swéj granitowéj szaty zdobią.

Zpośród bujnych zapachów kwitnących drzew cytrynowych i wawrzynowych odzywało się od czasu do czasu jednostajne gruchanie gołębicy usypiającéj swoje drobne pisklęta. W pobliskim krzewie zabrzmiała nuta słowika i ucichła. Starożytne dęby kłoniły tam z góry swoje wiatrem kołysane wierzchołki ku dolinie, jakby w powitanie wieczoru. I nastąpiła znowu głęboka cisza na ziemi i w powietrzu. Chwilami tylko zaszumiało coś z głębi lasu lub zaszeleściła sucha gałąź pod stopą leśnego źwierza.

Jerzy i Róża zbliżyli się zwolna ku sobie. Ich ręce połączyły się, ich usta zetknęły się mimowolnie.

Choć sobie nic nie rzekli, zrozumieli się przecież.

Pobliski słowik zanucił weseléj jeszcze niż wprzódy swoje nocną piosenkę...

W téj chwili zaczęło się odzywać jakieś gwizdanie po dolinie, dał się słyszéć rozgłośny krzyk, a wreszcie strzał, który się w tysiączne drobne echa rozprysnął. Lady Brandon zerwała się zdziwiona; sir Jerzy stał już przed nią na straży, trzymając w każdéj ręce pistolet. Zdawało mu się, jakby widział jakieś postacie ludzkie zbliżające się do nich w ciemności; nagle, ledwie o kilka kroków przed sobą, ujrzał dwóch ludzi z bronią w ręku. Sir Jerzy był odważny i przyt[illegible] jak [illegible] Anglik: zawołał na nieznajomych [illegible], a oni go usłuchali; zapytał ich czego żądają, lecz oni nic nato nie odrzekli; krzyknął na nich, aby sobie precz odeszli, lecz oni się z miejsca nie ruszyli. Jeszcze się im więcéj przypatrzywszy, wymierzył do nich zwolna i spokojnie, i wypalił z obudwóch pistoletów; ale chociażto były wyborne pistolety, i chociaż on tak doskonale strzélał, iż jaskółki w lot ubijał, żaden z jego dwóch przeciwników mimo podwójnego wystrzału ani się zachwiał. Tém rozgniewany rzucił pistolety na ziemię, i dobywszy tureckiego sztyletu, który zawsze nosił przy sobie, poskoczył naprzód.

W téjże chwili jakieś niewidome pęta opasały go naokoło jak węże i padł na ziemię. Nad sobą zaś ujrzał czeredę uzbrojonych od stóp do głowy zbójców, przytykających szérokie paszcze swoich karabinów do jego bezbronnéj piersi.

Wszystko to działo się w milczeniu i tak szybko, iż zdumiona Angielka mniemała być igraszką jakiegoś okropnego przywidzenia. Lecz mimo swojéj pieszczonéj powierzchowności byłato w istocie nieulękniona dusza.

Weszła śmiało pomiędzy zbójców i stając teraz w obronie swego dawniejszego obrońcy, zapytała mocnym głosem złoczyńców, czego chcą od spokojnych podróżników.

Pierwszą nato odpowiedzią był śmiech przytłumiony.

Nareszcie ozwał się jeden z zbójców szyderczym tonem: »*O, per Dio!* My nie chcemy od nich nic więcéj, jak tylko ich pieniędzy, a może też i życia, jeżli nie oddadzą prędko i grzecznie, wszystko co tylko mają.«

»Oto macie moję sakiewkę!«

To rzekłszy rzuciła ładną ilość gwinejów rozbójnikom.

Znowu usłyszano śmiech pomiędzy zbójecką bandą; poczém ozwał się powtórnie głos tego samego bandyty, który wprzód był przemówił.

»To nie dosyć!«

»Oto moje klejnoty!«

I rozerwawszy nieustraszenie dość kosztowny naszyjnik, rzuciła go na ziemię przed rozbójników.

»I to jeszcze nie dosyć na tak znakomite osoby,« odpowiedziano. »Nuże! I *signor Inglese* powinien także swój haracz złożyć.«

»Ohydne łotry!« krzyknął teraz sir Jerzy. »Gdybym miał wolne ręce, dałbym ja wam co innego!«

»*Che gusto!*« ozwał się jeden z zbójców. »Daléj chłopcy, ponieważ *signor Inglese* nie chce dobrowolnie oddać pieniędzy...«

Na te słowa, wyrzeczone z p[illegible]rażającą oziębłością, przytknął dowódzca bandy nanowo swój karabin do piersi byłego kapitana. Lady Brandon odtrąciła gwałtownie lufę i rozbójnika. Lecz to było już ostatniém wysileniem jéj energii; upadła na ko[illegible] Angielka, z załamanemi rękoma, ze łzami w oczach, przytłumionym od łkania głosem, błagała zbójców:

»Oh, przez Boga, nie zabijajcie go, nie zabijajcie — lub raczéj mnie wprzód zabijcie! To mój kochanek — to życie moje! Wy nie wiécie że ja go kocham — nie wiecie, że byłabym poszła za niego, gdybyśmy nie byli oboje ubogiemi!... Dlategoto musiałam się poświęcić, musiałam p[illegible]ć bogatego, starego męża!... Ach, zaczekajcie! puśćcie go! Mój Jerzy ma zaledwie kilka gwinejów przy sobie;... godziż się mordować kogoś dla kilku gwinejów!... Lecz posłuchajcie! Pozwólcie mu się podnieść, pozwólcie nam uciec. Zaraz tu przybędzie kto inny; ten ma 2000 funtów szterl. zaszytych w podszewce swego surduta.... To wcale inna zdobycz!... A jeźli... Ach mój Boże!... cha, cha, cha!«

Tu lady Róża, zmieniając nagle głos, wybuchła najserdeczniejszym śmiechem. Jerzy mniemał iż gwałtowne przerażenie pozbawiło ją zmysłów.

»Śmiéj się — śmiéj się mocno!« szepnęła mu do ucha.

Dingmoore zaczął się także śmiać na całe gardło, chociaż sam nie wiedział przyczyny, będąc jedynie posłusznym naglącemu rozkazowi milady.

Podobnież i cała banda ozwała się głośnym śmiechem.

Nareszcie jeden ze zbójców, zdający się być ich

hersztem, zbliżył się ku pojmanéj parze, i na pół wściekły, na pół zmieszany, zawołał czystą angielszczyzną: „*Goddam!*"

Lady Brandon zaczęła się śmiać jeszcze bardziéj.

»*Goddam!*" krzyknął zbójca nanowo, odrywając fałszywą brodę, z pod któréj wyjrzało rumiane oblicze komodora.

»A cóż milordzie," rzekła lady Róża śmiejąc się z całéj siły. »Albożem cię od razu mimo twoje przebrania i twój talent aktorski nie poznała?"

»Jakto, milady?"

»A sir Jerzy, czyż nie grał równie dobrze, jak ja i wpan?"

»Cóżto — Dingmoore?"

»Tak jest, kochany komodorze," odpowiedział sir Jerzy odzyskawszy przytomność i zrozumiawszy żart lorda i wybieg jego żony; »w téj saméj chwili, gdyś nas opuścił, domyśliliśmy się zaraz twojego żartu."

»Przegrałem!" zawołał lord Brandon, śmiejąc się nieco zmieszany. »Mniemałem przecież iż mnie w tym stroju nie poznacie. Szkoda, *signor* Albano! Nie powiodła się nam krotochwila. Zaprowadźże nas teraz na nocleg. Wygwizdany aktor potrzebuje odetchnięcia."

»Żałuję milordzie," — odrzekł improwizator — „lecz dla pewnych przyczyn nie mogę mu służyć za przewodnika i *cicerone.* Zresztą, jadąc prosto ową doliną, zajedziesz do wygodnéj oberży."

»Do zobaczenia więc, *signor* Albano!"

»Za pozwoleniem, *eccellenza,* mam jeszcze jedne prośbę..."

»Cóż takiego?"

»O to — fraszka dla *eccelenzy;* — prosiłbym o owe dwa tysiące funtów szterlingów, które masz zaszyte w podszewce u surduta."

„Żartujesz, mój zacny improwizatorze?"

»Bynajmniéj, szanowny komodorze."

„*Goddam!* To mi się podoba! Dwa tysięcy funtów szterlingów za to, iżeś przez kwadrans grał rolę zbójcy."

»Nie jestto, milordzie, rola, którą odgrywam, lecz zarobek, z którego żyję."

»Jakto rozumiesz, *signor* Albano?"

»Powiadam, że się nazywam Malatesta, i jestem naczelnikiem bandy uczciwych ludzi, którzy wzięli na siebie staranie, pobierać małą opłatę od szlachetnych cudzoziemców, którzy przyjeżdżają zwidzać naszę rodzinną krainę *la Brienza.* Uspokój się milordzie; — nie trudź daremnie pistoletów; wszakże wiesz dobrze, iż idąc za moją radą, powykręcałeś z nich kule, równie jak z pistoletów pana Jerzego. Oh, wpan doskonale ułożyłeś swą krotochwilę; jedno tylko sam przyznać musisz, iżeś nie pojął ważności mojéj roli."

»*Goddam!* Niech cię diabli porwą, *signor* Malatesta!" fuknął się zacny komodor, dobywając zaszyte banknoty — gdyż zbójca nie mówił wcale na żarty.

Odebrawszy pieniądze, odkrył bandyta głowę i kłaniając się grzecznie małżonce lorda Brandon, rzekł: »Przyjm milady ten naszyjnik w którym ci tak pięknie do twarzy. Proszę mi przebaczyć, jeźlim był powodem jakiéj nieprzyjemności — jakiegoś chwilowego kłopotu. — Za to jestem gotów służyć milady do zdjęcia mego portretu, gdybyś chciała umieścić w swojém album obraz prawdziwego rozbójnika włoskiego."

»Pójdźmy milady, pójdźmy Dingmoore!" przerwał lord Brandon. „On, jak widzę, jeszcze sobie z nas żartuje, i słusznie." Poczem oddalając się do powozu — »I cóż, milady," — ozwał się — »nieprawdaż, że to ładny kraik, ta *la Brienza*.... Bogdajbym tu był nigdy nogą nie postał!... A wpan, sir Jerzy, cóż o tém sądzisz?"

»Ja," odpowiedział towarzysz, uradowany iż widział milady tak szczęśliwie ocaloną z podwójnego niebezpieczeństwa — »jabym miał ochotę zaśpiewać: *God save the queen!* (Boże zachowaj królowę!)"

Powiadają iż dzięki usilnemu zaleceniu lorda Brandon i ambasady angielskiéj, *il signor* Malatesta został wkrótce potém schwytany i powieszony. Milady zaś kazała przez zemstę wylitografować wizerunek, jak mówiła, z natury, wyobrażający szkaradnego włoskiego zbójcy którym podług umieszczonego pod spodem napisu, miał być nasz utalentowany improwizator.

W téj chwili jest *la Brienza* miejscem daleko bezpieczniejszém niż wszystkie paryzkie promenady pod wieczór.

Być nawet może, iż to całe zdarzenie jest tylko zmyśleniem gospodników z Arony, Monza i Sesto-Calende, zawiszczących téj krainie wziętości, jakiéj ona niezawodnie pomiędzy ciekawymi podróżnikami nabędzie. Lecz jeźliśmy tu tylko bajkę opowiedzieli, niech wina tego spadnie na ich sumienie.

Zaślubienie środkiem ocalenia od kary śmierci.

Podług dziennika »*Gazette des Tribunaux.*«

Późnym wieczorem dnia 23go maja 1843 roku, wyszła jakaś niewiasta z bramy bardzo porządnego domu nad kanałem Fontanka w Petersburgu. Grobowa bladość okrywała jéj schorzałe lica, krok jéj był niepewny i drżący, a pod lekko zarzuconym jedwabnym płaszczem niosła jakieś zawiniątko, które jéj wszakże za każdym krokiem coraz bardziéj ciężyło. Mimo to jednak pospieszała co siły naprzód i oglądając się z niewymowną trwogą wokoło siebie, doszła wreszcie do rzeki Newy. Tu — szybko — jakgdyby się lękała aby jéj co nie przeszkodzi-

ło, lub aby się sama przed swoim własnym nie wzdrygnęła zamiarem, dobyła z pod płaszcza kwilące dziecię i rzuciła je w wodę. Poczém upadła z załomanémi rękoma na kolana i chciała się sama w rzekę rzucić, gdy oto nagle ktoś ją mocno z tyłu za suknię chwycił. Byłto pewien przechodzący mużyk, który zasłyszawszy kwilenie dziecka, przyskoczył był nad Newę, i nie mogąc już ocalić niemowlęcia, chciał przynajmniéj występną matkę od samobójstwa ochronić i w ręce sprawiedliwości wydać. Nieszczęśliwa dzieciobójczyni krzyknęła głosem rozpaczy i wyrwać się usiłowała; lecz ramiona mużyka były mocniejsze, uchwycił ją zemdloną, i zaniósł do pobliskiego domu straży, zkąd ją natychmiast do kwartalnika policyi odstawiono. Skoro tylko przyszła do siebie, rozpoczął kwartalnik badanie, które przecież żadnego skutku nie miało, ponieważ nieszczęśliwa występczyni najuporczywsze milczenie zachowywała, i bądź z przedsięwzięcia bądź z żalu ani słowa nie rzekła. Dopiero wyższa władza, któréj pomocy zażądano, poznała biédną winowajczynię, a następnego poranku były wszystkie okoliczności jéj zbrodni wszechwiedzącéj rossyjskiéj policyi najdokładniéj wiadome. — Uwięziona zwała się Maryja i była córką pana S..., rodowitego Niemca, osiadłego oddawna w Rossyi, a teraz jednego z najzamożniejszych kupców stolicy. Młoda, piękna, starannie wychowana, a przytém ledwie ośmnaście lat mająca, natchnęła najżywszą namiętnością pewnego w kontuarze jéj ojca pracującego młodzieńca, który posiadając niezwyczajne przymioty i ujmującą postać, umiał wkrótce pozyskać serce ukochanéj dziewczyny. A że z powodu znanéj dumy rodziców stosunek kochanków tajnym pozostać musiał, przez to samo przywiódł ich wkońcu do występku. Szybkie poślubienie obojga młodych ludzi byłoby w takim razie najstosowniejszém naprawieniem ich błędu, lecz oburzeni rodzice niedali sobie ani wspomnieć o podobném załatwieniu romansu i myśleli tylko, jakby winnych ukarać. Lekkomyślnego zwodziciela oddalono ze wstydem z domu, Maryję zaś zamknięto w ustronnym pokoiku, do którego tylko rodzice i najzaufańsze osoby przystęp miały. Poczyniono już naprzód wszelkie przygotowania, aby się ustrzedz pilnie najmniejszego pozoru, któryby mógł był sławie Maryi zaszkodzić, a gdy wreszcie niewinna ofiara występnéj namiętności na świat przyszła, miała sprowadzona z dalekich okolic mamka zabrać dziecię ze sobą i jaknajprędzéj z niém z miasta ujechać. Nieszczęśliwa Maryja wiedziała jakie niebezpieczeństwo jéj dziecięciu zagraża i postanowiła nie dać go sobie żadnym sposobem wydrzeć. Przy pierwszém zbliżeniu się obcéj kobiéty do kolébki nowonarodzonego niemowlęcia, zerwała się rozpaczająca położnica z tak bolesnym okrzykiem i tak stanowczym zamiarem niewydania swojego dziecka, iż strwożeni rodzice, lękając się aby córka w obłąkanie nie wpadła, pozornem odstąpieniem od powziętego zamysłu i pochlebnémi przyrzeczeniami uspokoić nieszczęśliwą musieli. To wszystko jednak nie było wstanie skłonić nielitościwéj matki Maryi do zaniechania ułożonego planu. Udając na pozór rozczulenie, wywołała mamkę do sieni i tam rzekła jéj potajemnie: »Dziś w nocy, gdy chora zaśnie, weźmiesz z nienacka dziécię i zaraz z niém odjedziesz. Miéj się przeto na pogotowiu.» — Bądź że Maryja istotnie nagłéj dobroci matki nie dowierzała, bądź że przy swojém teraźniejszém chorobliwém wzruszeniu nerwów przeczuciem odgadnęła, iż matka jakieś mamce daje zlecenia, dość że wstawszy pocichu z łóżka, i przyłożywszy ucho do zamku, usłyszała wszystko, co jéj następnéj nocy zagrażało. Nikt nie zdoła opisać, jak okrutne wrażenie ten nielitościwy rozkaz na nieszczęśliwéj sprawił. Prawie bez przytomności, i jedynie za popędem swojéj rozpaczy idąc, wzięła dziecię na rękę, zarzuciła płaszcz na ramiona i wyszła skrycie z domu. Przypadek, który mużyka świadkiem jéj zabójstwa uczynił, nie ocalił wprawdzie dziecięcia, lecz uchronił ją samą od zamierzonéj śmierci, aby ją na nierównie sroższą wystawić mękę. Rossyjska sprawiedliwość jest jak wiadomo surowa i nieprzebłagana; nie zważając na żadne ustronne pobudki i okoliczności, które nieraz prawie mimowolnie nieszczęśliwych do zbrodni wiodą, sądzi ona same wypadki, i może tylko łaską cesarza być złagodzoną. Występek Maryi nie podlegał najmniejszéj wątpliwości; ustawy kraju przepisywały najściślejszą surowość: skazano ją na karę 41 knutów. 41 knutów dla delikatnéj kobiéty, dla pieszczonego przez całe życie, a przytém fizyczném cierpieniem i rozpaczą osłabionego ciała — byłto wyrok nieodzownéj, bolesnéj, najokrutniejszéj śmierci! — Ale jeszcze jeden — ostatni środek ocalenia pozostał. Kodex karny zezwala w pewnym razie na złagodzenie kary. Jeżli zkazana jest córką kupca piérwszéj lub drugiéj klasy, a znajdzie się jaki szlachcic, który natychmiast po ogłoszeniu wyroku z nią się ożeni, natenczas zamienia się kara knutów w dożywotnie wygnanie na Sybir, pod warunkiem, aby mąż koniecznie los swojéj żony podzielał. — Gdzież jednak takiego zbawcę znaleźć! Podobnie jak w każdym kraju, tak też i w Rossyi, jest wiele potomków starożytnych familij, co nie mają grosza przy duszy i ledwie wyżyć mogą, ale wszyscy oni są hardzi ze swego pochodzenia, i nie skłoniliby się nigdy do poślubienia kobiéty, którę ustawy hańbą napiętnowały, a któréj oraz na Sybir trzeba towarzyszyć. Tak się przynajmniéj w tym razie okazało. Bogaci rodzice Maryi, żałujący teraz poniewczasie swéj surowości, ofiarowali trzykroć stotysięcy rubli szlachcicowi, któryby się z córką

ich chciał ożenić. Byłoto sute wiano, ale przecież nikt się po nie nie zgłaszał. Jakiś tylko Van holenderski, stary podupadły żeglarz, sądził, iż krew starożytnego rotterdamskich bankierów rodu, warta zaiste tyle, co inflanckie, polskie lub rossyjskie szlachectwo; lecz ustawy rossyjskie nie uznały ani Van'a ani jego starożytnego rodu, a usilne błagania ojca i powszechnie wzbudzona litość to jedynie na cesarzu wymogły, że odroczył jeszcze termin wykonania wyroku śmierci i krotką zwłokę ośmiu dni postanowił.— Tymczasem nieszczęśliwa Maryja, dręczona podwójną myślą o straconém dziecięciu i zagrażającej śmierci, żyła w zupełnem prawie otrętwieniu, a gdy ją wreszcie litościwy sen zmorzył, i natenczas nie dozwalały jéj okropne marzenia ani chwili spoczynku; zrywała się z więziennego łoża boleści, załamowała ręce, odchodziła od zmysłów z płaczu i trwogi śmierci. Razu jednego — blisko już schyłku ostatniéj zwłoki— opamiętywając się z takiego przystępu niewymownego bolu, ujrzała jakiegoś młodego mężczyznę wstępującego do celi jéj więzienia. Niespodziewany gość ten był synem dawnéj, lecz zubożałej szlacheckiéj rodziny w Rossyi i słynął z rzadkiego poetycznego talentu, którym powszechną uwagę stolicy na siebie zwrócił. Spojrzawszy spokojnie na nieszczęśliwą Maryję, usiadł naprzeciw niéj, i utkwił w nią swoje łagodne lecz przenikliwe oko, jakgdyby z jéj boleścią skrzywionych rysów chciał wyczytać miarę jéj winy i zachowanego jeszcze zarodu szlachetności i cnoty. Córka zamożnego petersburskiego kupca uchodziła przed niedawnym czasem za piérwszą piękność stolicy; teraz jednak niktby jéj był nie poznał, tak się biedna zmieniła. Lecz obcy nie zdawał się zważać na to, gdyż badawcze jego spojrzenie stawało się coraz bardziéj łagodnem i rozrzewnionem, a wkońcu zapytał głosem najtkliwszego udziału o powód jéj występku.— »Nie wiedziałam co robię; chciałam umrzeć wraz z mojem dziecięciem!« odrzekła winowajczyni, i opowiedziała nieznajomemu dzieje swych cierpień, z tak uderzającą prawdą, z tak szczerym żalem i tak istotną skruchą, iż się o jéj niezepsutém sercu mocno przekonał. — »Nie lękam się śmierci,« zakończyła opowiadanie; — »zasłużyłam na śmierć i tęskno mi za grobem, lecz« — dodała nieszczęśliwa ze strachem — »drżę przed bolem, wzdrygam się wskroś całej istoty mojéj na okropną myśl knuta!«— Nieznajomy podał jéj rękę i oświadczył sędziom zamiar przyjęcia ją za żonę. Przedłożono rzecz senatowi. — Nazajutrz rano zostali poślubieni i opuścili w nocy pod zasłoną straży stolicę. W krótkim czasie zawiozła ich kibitka do Tobolska, gdzie każdy, co w jego bramy wstąpi, zginął już dla świata i uciech jego — bo Sybir — jestto cmentarz żyjących.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 4ty i zawiera: 1) Gospodarstwo płodozmienne nie jest osobną metodą gospodarowania; przez K. J. Turowskiego. 2) O zużyciu paliwa i pary, tudzież o potrzebnych aparatach warzelnych, w celu uzyskania jak największej ilości cukru w fabryce na zasadzie maceracyi urządzonej. (Dokończenie.) 3) O koniach arabskich w Rejterowicach. (Artykuł nadesłany.) 4) Drugi artykuł o handlu okowitą galicyjską do Tryjestu, wyjęty z nru 3go dziennika »Lloyd austryjacki«, z r. b. 5) Raperta handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 3ci i zawiera prócz mód następujące artykuły: 1) Romanca o Rodryku, ostatnim królu gockim. 2) Pieśń studencka. 3) Ćwierć gęsi, szkic obyczajowy. 4) Wyjątek z listu Kornela Szlegla, malarza, pisanego z Rzymu dnia 20go grudnia 1844 roku, do przyjaciela. 5) Teatr. 6) Nowości literackie.

Z Warszawy. *Biblijoteka warszawska* na miesiąc styczeń 1845 zawiera: 1) Od redakcyi. 2) Pamiętniki moje w Hiszpanii, przez Kajetana Wojciechowskiego. 3) Pamiętniki Seglasa, przez Frydryka hr. Skarbka, ciąg dalszy. 4) O nabyciu własności nieruchomej, jéj ustaleniu i oczyszczeniu hipotecznie, przez J. C. S. 5) Poezyje. Herman i Dorota, tłumaczenie z Getego, przez Ant. Czajkowskiego, dokończenie. Baśń o żelaznym wilku, przez tegoż. 6) Krytyczny rozbiór dzieła Karola Kurpińskiego: Zasady harmonii, wykładane w sposobie lekcyj dla lubowników muzyki, przez Józ. Sikorskiego. 7) O mniemanym trybucie i hołdownictwie Polski cesarstwu niemieckiemu, przez St. Kaczkowskiego. 8) Wspomnienie o Ignacym Rychterze, przez L. Potockiego. 9) Uwagi nad dziełem: Źródła do dziejów polskich, wydawane przez M. Malinowskiego i Al. Przeździeckiego, przez F. Bentkowskiego. 10) Kronika literacka. 11) Rozmaitości. 12) Kronika zagraniczna. 13) Kronika biblijografijna. 14) Doniesienia literackie. 15) Dostrzeżenia meteorologiczne.— Oprócz tego zamierza redakcyja Biblijoteki warszawskiej zamieszczać każdego miesiąca najciekawsze i najświeższe doniesienia o godnych uwagi postrzeżeniach i odkryciach w dziedzinie nauk przyrodzonych, o ustanowieniach rządów europejskich na korzyść tych nauk, o nowych znakomitszych dziełach w tym zawodzie i t. p. — i rozpoczęła ten oddział, mający nosić stałą nazwę: Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych — kilką artykułami profesorów J. Baranowskiego i A. Wagi.

Ignacy Rychter, jeden z najuczeńszych mężów Warszawy, umarł tamże z końcem roku zeszłego. *Biblijoteka warszawska*, na miesiąc styczeń r. b., umieściła pozgonne o nim wspomnienie, napisane przez Leona Potockiego, które nas tembardziéj obchodzić może, iż ten zacny literat urodził się we Lwowie r. 1804, z ojca Franciszka, cześnika czernichowskiego, i matki Zofii z Bilińskich. Odbywszy nauki w liceum zamojskiem i w uniwersytecie warszawskim, poświęcił się w 17 roku życia zawodowi nauczycielskiemu i został najprzód profesorem w Szczebrzeszynie, a potem w szkole OO. Dominikanów w Warszawie. Za różne rozprawy uczone otrzymał medal złoty i pochwały uniwersytetu warszawskiego, oraz Towarzystwa naukowego w Lipsku. Oprócz tego ozdabiał pracami swojemi programaty egzaminów szkoły OO. Dominikanów, jakoteż pisma czasowe: Biblijoteka warszawska, Pamiętnik religijny, Pielgrzym, Kuryjer i t. d. Wspólnie z Adryjanem Krzyżanowskim pracował Rychter nad wyjaśnieniem rodowości naszego wielkiego Kopernika. Zbyt wcześnie zmarłszy, zostawił ważne rękopisy, a między temi jeden o wymowie pogrzebowej w Polsce, tudzież prace przygotowawcze do historyi akademii zamojskiéj, do czego będąc biblijotekarzem księgozbioru ordynacyi zamojskiéj, większą miał niż ktokolwiek sposobność. Powszechnem jest życzeniem aby te prace jaknajprędzéj uporządkowane i drukiem ogłoszone być mogły.

Podzwonne starożytne. W jednym z ostatnich numerów *Pamiętnika religijnego*, wychodzącego w Warszawie, jest umieszczony opis kościoła w Kraśniku — w królestwie polskiém, pow. zamojskim — w którym znajdujemy ciekawą wzmiankę, iż równie tamże w Kraśniku, jak w wielu miejscach Polski zachowuje się dotąd starożytny, bo już czterowiekowy, na pamiątkę klęski pod Warną r. 1444, zaprowadzony zwyczaj uderzenia po wieczorném dzwonieniu 9 razy we dzwon w pewnych przestankach czasu dla przypomnienia ginących w boju braci modlitwom wiernych. Po wielu innych kościołach dzwonią tym sposobem na pacierze za polskich wojowników poległych w obronie wiary świętéj pod Wiedniem.

Podróże za granicę. Z powodu wydanych niedawno »Oryjentalnych listów« sławnej pisarki niemieckiéj hrabiny Idy Hahn-Hahn, czyni angielskie pismo »*Athenaeum*« następujące uwagi, które i do nas może zastosować się dadzą: Chociaż teraźniejsza manija podróży nie jest właśnie najzdrowszym symptomatem naszego czasu, musimy ją przecież przebyć, jak niejednę chorobę. Chorujemy więc niestety, i nie dziwimy się wcale, iż angielskie, francuzkie a nawet niemieckie damy błąkają się pomiędzy piramidami, około Delhi, poza wielki mur chiński, przedsiębiorą przejazdki do Tejas', lub, jak nieustraszona mistriss Postans, drapią się przez zapowietrzone podziemia za nabalsamowanémi krokodylami. Ale gdy ta manija podróżowania przeminie, natenczas będą panowie i panie, których niebo majątkiem i zdolnościami obdarzyło, postępować wcale przeciwnie, i zamiast dalekich krajów, zwidzać swoją własną parafiję, gdzie ich stan ubogich poddanych równie tyle obchodzić będzie, co teraz los Chińczyków lub Beduinów. Niech tylko dzisiejszy wędrowny kosmopolityzm staroświeckim się stanie, a obaczymy że serce ludzkie znowu prawdziwéj miłości bliźniego się nauczy, i zbliska wokoło siebie będzie szukać przedmiotów dla swego przywiązania i miłosierdzia. Wtedy niejeden absentysta, który teraz za granicą majątek swojéj rodzinnéj ziemi trwoni, napisze zajmujące dziełko o własnéj dziedzicznéj wiosce. Tymczasem — jeszcze do tego nie przyszło. Daj Boże, aby to jak najprędzéj się stało!

Nic nowego pod słońcem. Na pocieszenie autorów którzy sami dzieła swe recenzują, lub przyjaciołom swoim chwalić się każą, aby témprędzej nieśmiertelności dostąpić, przytaczamy następujący wyjątek z pisem jednego z najznakomitszych autorów starożytnych, mogący nas przekonać, iż podobny krytyczny proceder niejest bynajmniéj wynalazkiem 19go wieku, lecz już od niepamiętnych czasów w używaniu bywał. Cicero, ów sławny krasomowca i konsul rzymski, pisze w liście do swego poufnego przyjaciela Lucceja: »Pałam niesłychaną, a mojém zdaniem, wcale nienaganną żądzą, aby imię moje słynęło w ustach uczonych, a osobliwie twémi pismami rozsławioném być mogło. Nie ukrywam ja sobie wprawdzie, jak to nieskromnie z mojéj strony, obarczać cię przy twoich wielostronnych zatrudnieniach, podobnémi prośbami i żądać pochwał od ciebie. A gdybym ci się téż nie wydał godnym wcale tych pochwał? Ale kto już raz granicę skromności przekroczył, ten musi na zawsze nieskromnym zostać. Dlatego upraszam cię szczérze i otwarcie, abyś mię, chociażby to nawet twojém przekonaniem nie było, starannie w swoich pismach ozdobił, i nie zbyt sumiennie nato zważał, jeżli cię miłość dla mnie pochwalniejszémi natchnie słowy, niż tego może prawda dozwala.« — Jedna tylko rzecz podpada wątpliwości, a nią jest: czy téż ci, którzy się dzisiaj tak skrzętnie o pochwały ubiegają, czynią to równie skromnie, i na zasadzie równych zasług jak Cicero?

Niektóre osobliwsze zwyczaje mexykańskie. Nigdzie nie kocha się publiczność tak mocno w ogniach sztucznych jak w Mexyku; obliczono też najdokładniéj, iż spotrzebowany przy takich ogniach proch kosztuje rzeczpospolitę mexykańską tyle właśnie, ile proch w jéj wojnach domowych wystrzelany. Od świtu już pękają w każdy dzień uroczysty niezliczone race, którym ciągłe strzały z dział, karabinów i pistoletów wtórzą. Ten zagłuszający łoskot trwa przez dzień cały i bywa jeszcze nieustannem biciem we wszystkie dzwony powiększany. Właściwe jednak sztuki ogniowe odbywają się dopiero w nocy; przyczém odznacza się najbardziéj widowisko tak zwanych drzew wolności, które na wszystkie strony ogniem się iskrzą. — Inną osobliwością zwyczajów mexykańskich jest powszechnie tam panująca uciecha ze śmierci małych dziatek, gdyż sądzą, iż dusze tych niewiniątek nie muszą przechodzić najprzód przez piekło, lecz bezpośrednio do nieba idą. Z tego powodu stroją rodzice ciała swych zmarłych dziatek w różnobarwne sukienki, wstążki, kwiaty, i wystawiają je tak z odsłonioną twarzą, z złożonemi jakby do modlitwy rączkami przez jakiś czas na widok przechodzących; poczem najczęściej sama matka, bez trumny, lecz z muzyką, zanosi dziécię na cmentarz, i podczas gdy zewsząd race w górę się wznoszą, spuszcza je tam do grobu. Po odbytym pogrzebie zgromadzają się przyjaciele i krewni w domu osieroconych rodziców, i bawią się tam, śpiewają, tańczą fandango, piją i cieszą się wszelkiemi sposobami: że kochana dziecina teraz pomiędzy aniołami się znajduje. — Wszelka nowa budowa, bądźto kościół, mieszkanie, teatr lub téż maszyna, musi być poświęconą przez księdza, czyli jak tam mowią, ochrzczoną. Zaproszeni do tego chrztu świadkowie muszą opędzać koszta całéj uroczystości. Każda część budynku bywa święconą wodą skrapiana.

Dwa sprzeczne zdania. W jednéj z utarczek, które podczas wojny między rzecząpospolitą francuzką a Prusami w roku 1792 około Moguncyi zaszły, postrzegł król pruski, iż pewien nieprzyjacielski grenadyjer, lubo cały ranami okryty i zewsząd otoczony, żadną miarą o pardon prosić nie chciał. To się królowi Frydrykowi Wilhelmowi tak podobało, że wydał rozkaz, aby go z największą ostrożnością w niewolę wzięto, a potém przed króla przyprowadzono. »*Vous êtes un brave homme*,« ozwie się Fryderyk Wilhelm do przystawionego mu Francuza; »*c'est dommage que vous ne vous battiez pour une meilleure cause.*« (Dzielny z ciebie żołnierz! Szkoda tylko że za lepszą nie walczysz sprawę.) Wojownik rzeczypospolitéj był wprawdzie tą niespodzianą mową jego królewskiéj mości nieco zdziwionym, lecz mimo doznaną łaskę nie myślał swoich republikańskich zasad się zaprzeć; dla tego niewiedząc jakby i królowi niewdzięcznym się nie okazać, i własnemu krajowi nic ubliżyć — »*Citoyen Guillaume*,« — rzecze z żołnierską otwartością do króla — »*nous ne serions pas d'accord sur ce chapitre là, parlons d'autre chose.*« (Obywatelu Wilhelmie. nie zgodzilibyśmy się nigdy z sobą w tym punkcie; wolimy o czém innéм mówić.) Ta oryginalna odpowiedź pobudziła króla i cały jego orszak do śmiechu.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.